

## © ARCHIWUM WSCHOŃNIE

Urodziłem się 20.08.1924r., matka Anna, ojciec Hieronim. Przed wojną uczyłem się w gimnazjum im. A. Mickiewicza w Wilnie. Ojciec był pracownikiem policji państwowej. *Wojna sześcioletnia w 37 r.*

Wjazd czołgów sowieckich do Wilna robił straszne wrażenie, żołnierze byli osmołeni, brudni. Nie pamiętam by były jakieś walki, choć opowiadano o jakichś starciach. Niebawem po wejściu bolszewików powstała w mieście tzw. milicja, złożona głównie z młodych Żydów, nosili oni czerwone opaski na rękawach. Zachowywali się strasznie. Gdy jeden z milicjantów zobaczył, że w klapie mam odznakę strzelecką z wizerunkiem orzełka to wyrwał mi ją i zbił mnie. *zapanował tu kańczuka*

Zaczął się następnie okres głodówki. Rosjanie nic nie dostarczali do miasta. Trwało to aż do przyścia Litwinów. Ludzie sobie wiele po nich obiecywali. Przede wszystkim wyglądali oni już jak ~~Ruski~~ Europejczycy *podobne mundury do nas* a nie jak Azjaci. Zadbali o to aby nakarmić miasto. Ogromne kolejki stały po chleb, smalec, czy kiełbasę zwyczajną. Szybko rozpoczęła się jednak litwinizacja miasta. Dochodziło do bójek na ulicy, w kościołach. Ojciec został internowany w obozie w Poładze, skąd przeniesiono go do Wiłkomierza. Pewnego dnia byłem u ojca. Po wyjściu z obozu zatrzymał mnie policjant litewski. Byłem w mundurku ~~szkolnym~~ *szkolny* ~~co~~ *czarna* rzucało się w oczy. Zaprowadził mnie na komisariat, gdzie komendant posterunku i tłumacz. Komendant posterunku zadawał po litewsku pytanie, tłumacz tłumaczy na polski ja odpowiadam tłumaczowi po polsku on ~~z~~ *z* kolei tłumaczy na litewski. Pada pytanie co ja tu robię. Odpowiedziałem, że Litwa jest tak małym krajem iż łatwo znaleźć się na drugim końcu. To bardzo zdenerwowało komendanta, który zaczął mi wygrażać i przeklinać najczystszą polszczyzną. W końcu się uspokoił, usiadł i znów zaczął po litewsku zadawać pytania, tłumacz tłumaczył mi na polski i tak dalej. Litwini byli pod tym względem jacyś dziwni.

W czasie okupacji litewskiej do szkoły chodziłem bardzo krótko, gdyż wyrzucono mnie z gimnazjum im. Mickiewicza. Właściwie to chyba rozwiązano całą klasę. Następnie chodziłem do litewskiego gimnazjum, może miesiąc, potem już nie. Jak wiadomo okupacja litewska trwała dosyć krótko, Rosjanie znów zajęli całą Litwę. Stworzyli trzy gimnazja, dziesięciolatki skorzystałem wtedy z okazji i znów zacząłem chodzić do szkoły do gimnazjum im. Zygmunta Augusta na Górze Buffałowej. Bardzo krótko to trwało, gdyż nie mogłem się pogodzić z takim traktowaniem człowieka wariata. Kto siedział cicho to dobrze było. Np. przychodzi dyrektor, który uczył nas nauki o konstytucji /czy coś takiego/ i zaczyna mówić, że w Związku Radzieckim produkcja samochodów wzrosła powiedzmy od 1918 r. o 240%, a w Stanach Zjednoczonych w tym samym okresie tylko o 40%. Ja wtedy zapytałem dlaczego nie podaje ścisłych liczb. Dyrektor z reguły wyrzucał mnie z tej lekcji, a potem w ogóle wyrzucono mnie ze szkoły, tak że wiele nie skorzystałem. W tym czasie wyjechaliśmy do Jerozolimki pod Wilnem, gdzie mieliśmy domek letniskowy z dużym ogrodem, więc można było też coś zasadzić. Mama zdecydowała o wyjeździe, gdyż w mieście było już bardzo trudno z wyżywieniem. Wyjazd do Jerozolimki uratował nas też przed wywózką. Dowiedziałem się potem, że tam gdzie mieszkaliśmy poprzednio kilkakrotnie przychodziło NKWD i pytało się o nas. Ojciec jak przypominam był policjantem. Był on internowany przez Litwinów. Po zajęciu Litwy przez Związek Radziecki wywieziono go do Kozielska, udało mu się jednak jakoś przeżyć, było to już po Katyniu. Trafił potem do Andersa. Walczył we Włoszech. W 1948r. wrócił z Anglii do Kraju, już w tej chwili nie żyje.

Jak wybuchła wojna niemiecko-rosyjska to była makabra. Rosjanie uciekali w niesamowity sposób, trupów było pełno. Ja potem jeździłem po Litwie, koło Czabiszek widziałem na rzece "mosty" utworzone z nieboszczyków. Jak się zaczęła okupacja niemiecka to nawiązałem kontakt z ZWZ, nikt jeszcze wtedy nie wychodził do akcji zbrojnych. Była całkowita konspiracja. Działalność polegała na szkoleniu. Do Jerozolimki,

*Wobec  
procedury  
są względy  
(w stos.  
do internowania  
litwinów)*

gdzie mieszkałem /to było 7 km. od Wilna/ Niemcy weszli bez żadnego oporu. Przez cały czas latały niemieckie samoloty. Pamiętam, że już, po przejściu Niemców /chyba dzień po/ w Jerozolimce znalazł się nagle oddział radzieckiej kawalerii ~~pod~~ pędzący na koniach. W tym czasie był więc jeszcze straszny bałagan na froncie. Niemcy ostrzelali ich z samolotów. Walk żadnych radziecko-niemieckich nie widziałem, po prostu była to jedna paniczna ucieczka. *i Przejście kłupa w Sławucie z brzojnego oporu*  
Uderzenie Niemców przyszło na okres apogeum wywózek. Ludność odczuła to jako wielką ulgę, jako swego rodzaju wybawienie. Muszę przyznać, że zachowanie się frontowych żołnierzy niemieckich było bardzo kulturalne. W porównaniu z Rosjanami, którzy klęli, wyzywali, pijani chodzili Niemcy byli spokojni, czysti, nie czynili wrogich gestów przeciwko miejscowej ludności.

*Pamiętam Niemcy wywozili ludność na roboty*  
W Okresie niemieckim" wyjechałem początkowo na Litwę do Czabiszek /niedaleko Wilkomierza/. Pracowałem tam u gajowego, ale bardzo krótko. Gajowy nazywał się co prawda Michałowski, ale okazało się, że był Litwinem. Był bardzo zadziorny, chciał polować na ukrywających się Żydów i niedobitki radzieckich żołnierzy. Wyjechałem stamtąd i wróciłem do kraju. Pracowałem następnie w niemieckiej firmie budowlanej w odlewni żeliwa, bodajże na ul. Rydza-Smigłego. *w Wilnie* Dawało to zaświadczenie pracy, które broniło przed wywózką na roboty do Niemiec. Pracowałem tam do listopada-grudnia 1943r., potem musiałem uciekać i znalazłem się w oddziale partyzanckim. Przez "siatkę" konspiracyjną dano nam adres człowieka, który miał nas zaprowadzić do oddziału partyzanckiego. *- do III-ej brygady* Spotkanie umówiono na ul. Pióromont, należało pytać o "Zaskoczka"/to pseudonim/. *zajmujący mieszkanie* Gdy przyszedłem do mieszkania, w którym był "Zaskoczek" powie-  
*cmontarnej* dział on, że dziś wieczorem mamy się spotkać koło bramy wejściowej na Starą Rossę. Będzie tam stał człowiek, którego należy się zapytać: "Czy tu jest wejście do bramy cmentarnej?". Jeżeli on odpowie: "A masz pan trumnę" to będzie hasło i odzew i wtedy on udzieli dalszych informacji

Wieczorem gdy przyszedłem na umówione miejsce, aż skóra ~~na mnie ścierpła~~  
na mnie ścierpła. Stał tam człowiek w mundurze żołnierza Wehrmachtu,  
pomyślałem, że to wyspa. Przeszedłem obok, lecz widzę że on dalej stoi.  
Podszedłem do niego i spytałem czy tu jest wejście do ~~bzamy~~ cmentar-  
nej, a on mówi: "A masz pan trumnę". Wytłumaczył mi gdzie mam iść. Na  
cmentarzu była już grupka osób. "Kim" i "Zaskoczek" mieli nas prowa-  
dzić do oddziału. Zrobili odprawę. "Kim" wyznaczył swych zastępców. Dro-  
ga była ciężka, strasznie się namęczyłem. Tak zaczęła się moja służba  
w III brygadzie. Brygada cały czas była w ruchu, nigdy nie stała dłu-  
żej w jednym miejscu. Na postoje obieraliśmy folwarczki, zaścianki,  
mniejsze osady. Przechodziło się z miejsca na miejsce. Jak to wyglądało.  
Wchodziło się do wsi marszem ~~nie~~ bezpiecznym. Czujka szła przodem, szpe-  
racze obchodzili wieś z boku, blokowało się wszystkie drogi, warta  
stała non stop, każdego wpuszczala nikogo natomiast nie wypuszczala.  
co mogło być przykre dla miejscowej ludności. Mieszkańcy jednak później  
się do tego przyzwyczaili. Gdy ja przyszedłem do oddziału liczył on oko-  
-ło 35 ludzi. Nas przyszła wtedy dosyć liczna grupa, około 20, część  
była też z rozbitego oddziału "Kmicica"/np. "Smutny"/.

W grudniu 1943r. komenda Okręgu Wileńskiego A<sup>K</sup> wyznaczyła nowego do-  
wódcę oddziału. "Szczerbca" miał zastąpić "Otto". Dotychczasowy kome-  
dant oddziału był bardzo lubiany przez partyzantów, mieli oni do nie-  
go zaufanie. Z "Ottem" z komendy przyjechały jeszcze dwie osoby. Nie  
bardzo było wiadomo po co oni przyjechali. W pewnej chwili usłyszałem  
tylko "ręce do góry". Zerwałem się od razu myślałem, że to może Niemcy.  
Okazało się, że "Kruk" i paru innych chłopaków rozbroili wysłanników  
komendy nie godząc się na zmianę dowódcy oddziału. Nie było żadnej ~~str~~  
strzelaniny, wysłannicy komendy otrzymali natomiast po parę wyciorów  
na tyłek każdy i kazano im odejść. Na drugi dzień rano "Szczerbiec"  
zrobił odprawę całego oddziału, powiedział że stała się rzecz ~~str~~ strą-  
-szna. Przez to co zrobiliśmy staliśmy się chyba bandą, a nie oddziałem

Vto był  
"Murzyn"  
- kolega  
z III - g  
brygady.

V Pomyślałem  
o jego osobie  
sympatia  
do Szczerbca  
właśnie w ten  
czas jego  
chcieli go  
ale to sprawa  
naprawdę  
nie wyjechał  
od Szczerbca.  
Luba.

To było trochę na dystas milicyjny  
Oni zamierzali zjednoczyć  
całemu z dwoma...  
To była banda...  
Szczerbiec

partyzanckim AK. Kto chciał mógł też bez żadnych przeszkód ze strony "Szczerbca" odejść z oddziału, ani jedna osoba nie wystąpiła jednak z oddziału. "Szczerbiec" wraz z podległymi mu partyzantami wycofał się pod Lidę. Niebawem jednak zdołano załagodzić stosunki z Komendą Okręgu. Nie wiem jakie były przyczyny zmiany na stanowisku dowódcy, to są sprawy Komendy.

*Wtedy  
głównie  
dokonywał  
powstańców  
pół dowód*

Jak ja przyszedłem do oddziału to dostałem nagan z którego jednak nie można już było strzelać. Służył on właściwie jako "maskotka" do postrzażenia. Po upływie około tygodnia dostałem karabin. Miałem też około 30 naboju do tego karabinu. Po bitwie pod Mikuliszkami stan uzbrojenia oddziału znacznie się polepszył. Zdobyliśmy tam dużo broni. Pomijając początek, z bronią było bardzo dobrze. Każda drużyna miała np. rkm, wszyscy mieli karabiny, dowódcy drużyn mieli przeważnie pistolety maszynowe. Znacznie później to już mieliśmy moździerze, ckmy. Wszystko było zdobyczne. Mieliśmy również granaty.

Akcje zbrojne były najczęściej przeprowadzane z inicjatywy dowódcy brygady. Jedyni poważniejsze starcia, które wymagały koordynacji i udziału kilku brygad były przygotowywane i przeprowadzane na rozkaz Komendy Okręgu, jak np. pod Murowaną Oszmianką. Czasami dochodziło do walk zupełnie przypadkowych. Często akcje polegały na tym, że się szło na szosę, robiło zasadzkę i czekało kto pojedzie. Czasami takie akcje kończyły się niewypałem, gdy jechało auto z cywilami. Pamiętam jak pod Ławaryszkami robiliśmy zasadzkę na szosie na mające jechać auta niemieckie czy litewskie. Wszystko było ustalone, podcięta sosna miała upaść na drogę i zatrzymać auta, my mieliśmy je ostrzelać. Jednak zamiast tych aut na które czekaliśmy jechał samochód z cywilami, wtedy niepotrzebnie ich zastrzeliliśmy. Jednak zaraz po nich nadjechały trzy czy cztery ciężarówki pełne wojska. To byli Łotysze. Gdy ostrzelaliśmy te auta, żołnierze z nich wysiedli, a wtedy kierowcy zawrócili je z powrotem i uciekli. Dużo wzięliśmy ich wtedy do niewoli. Zdobyliśmy

*W Ząbkach  
tam, 24 9*

*nie udało się  
wtedy  
bardzo  
chcieli się z nami*

*Wtedy musi być to b. nie przypadek  
Robota to kompania "Brozy"*

*Żołnierze zostali na polu*

*Walczyli w tym*

my też wtedy dużo broni. Cała akcja była bardzo udana.  
W starciach zbrojnych, zasadzkach zdobywaliśmy dużo broni. Najwięcej ~~nam~~  
"dostarczyli" nam broni Litwini z oddziałów pod dowództwem Plechavi-  
cziusa. Pamiętam dużo ciekawych starć albo zasadzek, ale dziś trudno mi  
już powiedzieć pod jakimi to było miejscowościami. Pamiętam bitwy pod  
Mikuliszkami z policją i żandarmerią niemiecką i litewską. To była mo-  
~~ją~~ pierwsza "wielka" bitwa, która pozostała mi w pamięci na zawsze.  
Następnie Rudomino - rozbicie oddziału miejscowej policji. Spaliliśmy  
też wtedy dokumenty w miejscowym urzędzie. Dotyczyły one wywózki na ro-  
boty do Rzeszy, wysokości kontyngentów. Dokumenty urzędowe paliliśmy  
zresztą i w innych akcjach. Policjantów po rozbrojeniu puściliśmy wol-  
no. Bardzo dużo broni zdobyliśmy też pod Graużyszkami. Był tam bunkier  
obsadzony przez litewską policję. Zasadzki na szocie w okolicy Jaszun,  
gdzie przeważnie rozbijaliśmy kolumny niemieckie. Raz <sup>pa</sup> pamiętam byłem z  
drużyną na ubezpieczeniu od strony Jaszun. Gdzieś w tyle słychać już by-  
ło walkę naszego oddziału z Niemcami. W pewnym momencie ~~widzi~~ zobaczy-  
łem jak od strony Jaszun nadjeżdża kolumna samochodów. Mój kolega "Bil"  
miał lornetkę teatralną, którą zawsze nosił na piersi. Spojrzał przez  
nią i powiedział, że to jadą ciężarówki. Pomyślałem, że jak ciężarówki  
to nie jest najg~~orzej~~. Miałem wtedy rkm, wycelowałem i strzeliłem".  
Ciężarówki jednak jechały dalej. Powiedziałem do "Bila", by zobaczyć  
jeszcze raz czy to na pewno ciężarówki. On potwierdził, mówiąc że widzi  
jak im się plandeki na wietrze ruszają. Wycelowałem jeszcze raz i odda-  
łem serię. Ciężarówki jednak jechały dalej. Mówię mu zobacz jeszcze raz  
na pewno... i nie zdążyłem dokończyć. ~~Okazały~~ Ciężarówki okazały się  
wozami pancernymi z granatnikami na górze. Zaczęli strzelać. Zdołaliśmy  
się jednak wycofać. Byłem dumny, że własną pierśią zasłoniłem kompanię,  
która mogła się wycofać. Kreuję się prawie na bohatera narodowego. Mie-  
liśmy wtedy taki uniform, że się nosiło plecaki, a na plecakach zrolo-  
wany koc. W czasie wycofywania się koc mi się rozwinął <sup>ale ja tego nie</sup>  
zauważyłem. Gdy doszliśmy do umówionej wcześniej wsi, w której czekał

Waskudnie  
was tam  
ostrowian

W wybuchu  
--  
Ciepły

*nacpanku*

na nas dowódca kompanii "Bury", dumny podszedłem do niego i melduję się a on mnie zrugął mówiąc "jak ty wyglądasz". *Kumosa mac, jak szysyk* To był wtedy taki strasznie zimny prysznic na moją wyobraźnię. *Bratem udawał porażliwego prawnika we wszystkich kłopotach.* Ludność miejscowa była w wyniku wojny "wypłukana" przez kontyngenty, rekwizycje. Z aprowizacją było więc ciężko. Bardzo dużo żywności mieliśmy zdobyczej, czy też z niemieckich majątków państwowych, ale także i bardzo dużo od miejscowej ludności, która ponosiła ogromne ciężary. Nasze dowództwo dawało ludności pokwitowania, które były uznawane przez Niemców i zwalniały od obowiazkowych dostaw w ramach kontyngentów. Stosunek ludności był jednak bardzo życzliwy do partyzantów ~~pol~~ polskich. Bardzo dużo młodzieży spośród miejscowej ludności było też w naszej brygadzie. Nieraz przychodziliśmy do wsi, w której syn spotykał ojca, brata czy jakiegoś krewnego. "Szczerbiec" *|| Inni dowódcy* zawsze podkreślał, że my się nie utrzymamy ani jednego dnia, jeżeli ludność będzie do nas wrogo ustosunkowana. Pamiętam, że były u nas nawet dwa wypadki wykonania wyroków śmierci na partyzantach za to, że dopuścili się rabunku mienia ludności cywilnej. Naprawdę byliśmy w dobrach stosunkach z ludnością. Najgorszymi dla niej kłopotami była właśnie aprowizacja i w zimie /latem tego nie używaliśmy/ to podwody. Jak się jechało na daleki patrol to brało się sanie, konie i woźnicę, który musiał jechać i 20 km potem zostawialiśmy go, on wracał do domu, a my braliśmy innego. Chłopi niechętnie udzielali podwody, gdyż obok zachodu, trudności itd. jeszcze na dodatek bali się, że mogą trafić na wojsko, jakąś bitwę i sami mogą zginąć.

Pamiętam Boże Narodzenie w Kamionce. Ja wtedy stałem na warcie. Było nabożeństwo, pasterka. Chłopcy przywieźli księdza z Turgiel. Przyszło bardzo dużo ludzi do kościoła. Po mszy "Szczerbiec" przed kościołem przemawiał do miejscowej ludności. Wtedy często ludność nie wierzyła jeszcze, że działają już polskie oddziały partyzanckie. Obawiano się prowokacji. Mówiono, że to są przebrani Niemcy czy Litwini, którzy chcą

wyłapać młodzież wyrażającą chęć pójścia do oddziałów partyzanckich. Pamiętam jak "Szczerbiec" mówił: "zobaczcie na tych chłopców, czy oni wyglądają na Litwinów". Później już nikogo nie trzeba było przekonywać, że w okolicy są polskie oddziały.

Szczególnie chętnie i mile nas widziano w tradycyjnie polskich folwarkach. Tam witano nas już jak bohaterów. *We wsiach staroszlacheckich też nas mile witano.*

*Takie wsielisko były to, nie przypominam.*

Nie mieliśmy starć zbrojnych z oddziałami partyzantki radzieckiej. Raz pamiętam jak szliśmy patrolem. Weszliśmy do jakiejś wsi /nie przypominam sobie nazwy/ i ta wieś się paliła. Wybiegły do nas zapłakane kobiety wiejskie, mówiły że przed chwilą była tutaj partyzantka sowiecka. Zabrali wszystko, a wieś podpalili. Pamiętam, że goniliśmy za nimi kilka godzin ale niestety nie dogoniliśmy. Na naszym terenie w ogóle nie było partyzantki radzieckiej. Oni siedzieli w puszczy Rudnickiej, czy w okolicach Naroczy, w tych bardziej dzikich ostępach.

*Ja byłem*

Bezpośrednio przed Operacją "Ostra Brama" stan uzbrojenia brygady był bardzo dobry. O liczebności trudno mi powiedzieć. Brygada była tak duża że nie sposób było kwaterować w jednym miejscu. Poszczególne kompanie miały już odrębne rejony działania i stanowiły w zasadzie oddzielne oddziały. Już wtedy ja nie miałem kontaktu z kolegami z innych kompanii. *Mieliśmy stały kontakt*

Ja byłem w drugiej kompanii dowodzonej przez "Brzozę". Każda drużyna miała rkm, karabiny, granaty. Przed samym uderzeniem na Wilno dowieziono nas na koncentrację samochodami /mieliśmy dużo zdobycznych samochodów/. Nocą ruszyliśmy w kierunku Wilna. Mieliśmy jakieś mało znaczące utarczki z Niemcami. Kolejny cały dzień przesiedzieliśmy w lasku /200m x 200 m/ ostrzeliwani przez niemieckie samoloty. Jeszcze przed świtem ruszyliśmy w kierunku na Belmont. Przeszliśmy koło Francuskiego Młyna, później na Belmont. Ja z drugą kompanią przechodziłem przez tory koło pociągu pancernego. Udało mi się przeskoczyć na drugą stronę torów. Weszliśmy na pagórkowaty, zalesiony teren na którym było dużo bunkrów. Poszliśmy naprzód. Doszliśmy do jednego z bunkrów. Niemcy zaczęli strzelać z granatników. Zostałem ranny w prawą rękę. Nie mogłem już strzelać.



Wycofałem się do tyłu. W niewielkiej kotlinie spotkałem "Szczerbca" i "Lanceta" - był to nasz lekarz brygady. Zrobił mi on opatrunek na rękę i kazał mi wycofać się do Kolonii ~~Wilniańskiej~~ Kolejowej, tam był szpital. W szpitalu lekarze ~~mi~~ zrobili mi nowy opatrunek. Mogłem jako tako chodzić więc powiedzieli mi żeby nie siedział w szpitalu, bo nie wiadomo co będzie jak przyjdą Rosjanie, <sup>lecz</sup> poszedł na prywatną melinę. Poszedłem jakieś 3 km za Kolonię Kolejową i wszedłem do pierwszego napotkanego domu. I tu jeszcze przyczynę do tego jak się ludność ustosunkowywała do nas. Mieszkańcy zaopiekowali się mną troskliwie. Siedząc w tym domu przeżyłem wejście Rosjan. Gospodyni przyniosła mi zaraz jakieś "ciuchy" cywilne i kazała zdjąć ubranie wojskowe. Po chyba czterech dniach poszedłem do Kolonii. Zameldowałem się u naszego dowódcy "Brzozy", który ucieszył się z tego, że żyję. Kazał mi wrócić do domu i szukać kontaktu z oddziałem jak wyzdrowieję. Wróciłem do domu, w którym mieszkałem w Jerozolimce. W czasie rozbrajania wileńskich brygad byłem w Jerozolimce. Najgorszy kłopot był z tym, że nie miałem żadnych dokumentów osobistych, gdyż w grudniu 1943r. gdy szedłem do oddziału kazano nam zniszczyć wszystkie dokumenty. Nie miałem nawet metryki urodzenia, tak że każdy NKWD-ysta gdyby mnie legitymował mógł powiedzieć, że jestem Niemcem i mnie zastrzelić. Poszukałem wtedy kontaktu przez pana Rakowskiego z biurem legalizacji. Dałem fotografię. Po odbiór dokumentów miałem się zgłosić na Szyszkinię Górze. Gdy poszedłem do mieszkania w którym miałem odebrać dokumenty wpadłem w "kocioł". Udawałem, że pomyliłem adres. NKWD-ysta miał w ręku plik fałszywych dowodów. Szybko znalazł mój. Było to pod koniec listopada. Zostałem aresztowany i osadzony w więzieniu na Łukiszkach w Wilnie. W celi byłem z jednym ciekawym panem, który nie mówił o sobie /zresztą nikt się wtedy nie uzewnętrzniał/ a zawsze gdy była noc on podchodził do okna i krzyczał: "tu Kowal! tu Kowal". Miał nazwisko Rzepecki, nie wiem czy było to prawdziwe jego nazwisko. Na to

1. Polen  
2. Stryżak  
3. J. J. J.  
4. o Medu  
5. o w...  
- zadaj  
bardzo  
nie byłem  
z Kemplani

hasło @ "tu Kowal" odzywały się z innych cel różne głosy. Po około tygodniu- dwóch w naszej celi znajdowało się coraz więcej ludzi. To był najgorszy okres w moim życiu. W naszej celi, która była pojedynką siedziało, a właściwie stało około 50 osób. W nocy część stała, część siedziała, z tym że ci co siedzieli to nie dotykali podłogi. W celi strasznie cuchnęło, gdy wszyscy zaczęli załatwiać swoje potrzeby fizjologiczne to "parasz" przeciekała już po pół godzinie. Ci którzy stali przy drzwiach dusili się od tego smrodu z braku powietrza, więc krzyczeli, otwórzcie okno, to był już grudzień więc ci przy oknie marzli i nie chcieli go otwierać. Potem przenieśli nas do jakiejś dużej hali, w której było szereg cel. Kraty tworzyły całą jedną ścianę więc było przynajmniej przewiewniej, nie było tyle smrodu, poza tym widziało się ludzi z naprzeciwka. Jednak ten wielki ścisk w celach prawdopodobnie wyszedł mi na dobre, gdyż moja sprawa chyba zaginęła w natłoku innych. Nie byłem więc na Łukiszkach ani razu przesłuchiwany. Pewnego razu przeprowadzili nas wszystkich do jakiegoś długiego i wąskiego pomieszczenia i kazali się rozbierać. W pomieszczeniu w którym kazało nam się rozbierać w ścianach dość nieudolnie były pochowane pieniądze i inne takie rzeczy. Domyśliłem się więc, że ludzie którzy je chowali nie mogli już ich zabrać. ~~R~~ Rewizja. Zagląдали wszędzie, gdzie tylko można było zaglądnąć. Wytrzepywano wszystkie przedmioty z ubrań, toreb które miało się ze sobą. Po rewizji wyprowadzili nas wszystkich na podwórko, następnie ustawili w kolumnę i przez miasto pogonili na dworzec. Za nami szli strażnicy z psami i zbierali wszystko co ktoś z nas rzucił. Na dworcu wsadzili nas do wagonów towarowych. Okna były zakratowane i zabite deskami przy drzwiach była mała dziura w podłodze dla załatwienia spraw fizjologicznych. Na dworcu staliśmy przez trzy dni. Nie dostaliśmy przez ten czas nic do jedzenia ani do picia. Mieliśmy wielkie pragnienie więc zlizywaliśmy lód z metalowych śrub, które były w wagonach. Po trzech dniach podczepili lokomotywę i pociąg ruszył. Po minięciu Wil-

Dużo nam  
przetupim  
ale tego, w  
Jani coś  
dostał, to  
nie widział  
niepamiętam

na pociąg zatrzymał się. Strażnicy pootwierali drzwi i do każdego wagonu wrzucili śnieżną kulę. To było nasze picie. Po jakimś czasie jazdy zresztą z częstymi przystankami dano nam kawałek chleba i suchej ryby, wstawiono też do wagonów piecyki. Zrobiło się trochę cieplej. W wagonie spotkałem jakiegoś młodego człowieka, który też był pełen inicjatywy więc postanowiliśmy uciekać. Wiedziałem, że wagony są zamykane na rygiel od zewnątrz. W dzień torby po masce gazowej, którą miałem ze sobą jako usztywniacz zaszyta była blacha. Rozprułem torbę, wyciągnąłem blachę, którą przełamałem na pół. Na przełamaniu blachy powstały jakby dwa ostrza. Przez trzy noce cichutko drapaliśmy <sup>u</sup> dziurę w drzwiach koło rygla. Na jednym z postojów słyszałem zbliżający się do nas lokomot. Pierwsze czy drugie uderzenie w drzwi naszego wagonu trafiło równiutko w kwadrat, któryśmy się cięli. Ja ratując się wsunąłem dwa nasze "scyzoryki" do popielnika. Wpadł jakiś oficer i kilku żołnierzy. Pytają się kto to wycinał. Oczywiście nikt się nie przyznawał. Zdenerwowany tym oficer kazał żołnierzom za karę wyrzucić z naszego wagonu piecyk. Nasze "scyzoryki" sterczały w śniegu. Oficer oczywiście je zauważył. Niektórzy z ludzi jadących z nami w wagonie zaczęli po cichu sarkać i narzekać, że teraz będą przez nas marzli. Ja wtedy, jeszcze bardzo młody, bardzo głupi i ambitny po bohatersku powiedziałem to ja wyciąłem. Oficer spytał się mnie po co to zrobiłem. Ja chciałem błysnąć dowcipem i odpowiedziałem, że okna nie ma a chciałem zobaczyć Związek Radziecki. To była głupota. Oficer wyciągnął nagan i rączką uderzył mnie w usta. Kazał mi wychodzić z wagonu. Obejrzałem się i zobaczyłem wtedy, że na końcu każdego wagonu była budka a w niej stał żołnierz z karabinem maszynowym. Nawet więc gdyby udało się nam otworzyć drzwi i wyskoczyć z wagonu na pewno by nas zastrzelili. Oficer kazał mi iść w kierunku krzaków i straszył mnie, że mnie zastrzeli. Pomyślałem, że nie mam nic do stracenia i jak dojdziemy do tych krzaków to ja mu wytrącę pistolet. *(Wtedy byliśmy jeszcze zaręczumiali i pewni siebie. Wpłynęły na to długie*

*Wknew mi  
sły palca*

*bo byłem pewny że jak i tak i tak mnie zastrzelą*

i przeważnie zwycięskie partyzanckie przygody. Po paru krokach oficer kazał mi jednak zawracać. Spisał mnie i powiedział, że rozliczy się ze mną na miejscu. Nie było z tego jednak żadnych konsekwencji, oprócz tego, że straciłem od uderzenia naganem dwa zęby. Jechaliśmy bardzo długo. Przyjechaliśmy do miasta Stalinogorsk czy Stalingorsk. Tam był ogromny budynek w którym jak regały stały prycze. Na ścianach były napisy w różnych językach, począwszy od polskich a skończywszy na jakichś "arabskich". Był to punkt rozdzielczy, w którym rozdzielano ludzi do różnych obozów. Byliśmy tam bardzo krótko. Dali nam tam pierwszy raz zjeść coś ciepłego. Miasto to było niedaleko od Moskwy. Pamiętam, że przyszedł do nas jakiś Polak i zaczął nam opowiadać o konferencji w Jałcie. Mówił jaka to wspaniała chwila, że Polska uzyskała wreszcie granice zachodnie, że musimy się cieszyć. Zostałem przydzielony do kopalni węgla w miejscowości Łuzowaja w moskowskiej okolicy. Mieszkałem w dużych barakach otoczonych drutem kolczastym. Jeść dawali bardzo nędznie tylko dwa razy dziennie. Cierpiało się głodówką. Ze wszystkich rzeczy, które mnie najbardziej w obozie gnębiły to było takie "głupstwo". Obóz był otoczony drutem kolczastym a w rogach stały wieżyczki wartownicze. Strażnicy żeby zaznaczyć, że czuwają dzwonili non stop w kawałek szyny. Dzień czy noc słychać było tylko bam! bam! bam! Potem następny bam! bam! bam! Ja modliłem się żeby chociaż pół godziny przestali dzwonić. Nic mi tak nie przeszkadzało jak to dzwonienie. Może zresztą oni specjalnie to robili żeby ludzi wykończyć. To dzwonienie nie dawało mi żyć. To było coś okropnego. W kopalni pracowaliśmy przez 12 godzin. Praca była okropna. Ja pracowałem lekko. Zawdzięczam to chyba strasznie zaoliwionemu kombinezonowi na który na stacji z kolejarzem zamieniłem swoje ubranie. Od tegoż kolejarza dostałem jeszcze chleb. Gdy nas przywiezli na miejsce to naczelnik obozu Żyd Grosman przydzielił nam pracę. Gdy zobaczył mój poplamiony kombinezon to powiedział "ty budiesz mechanikom". Pracowałem na powierzchni jako elektro-mechanik. Ci którzy pracowali pod ziemią jako normę musieli wyszuffować 24 tony węgla i wyrąbać 48 ton.

Ludzie padali. Kto nie zrobił to nie dostał jedzenia. Jeść<sup>c</sup> dawali dwa razy dziennie. My jako górnicy dostawaliśmy kilo dziesięć chleba. Nikt go jednak nie ważył. Prócz tego przed wyjściem do kopalni i po powrocie z pracy dostawaliśmy "zupę", w której były zalane wodą buraki, liście, zgnięte pomidory. Do tego dawali dwie łyżki stołowe lejącej się kaszy. "Stachanowcy" dostawali kostkę cukru, kawałeczek słoniny i jedną porcję chleba. Raz gdy ktoś rzucił nasz przydziałowy chleb do góry to przykleił się on do sufitu. Dostawaliśmy też tytoń. Początkowo korespondencja była zakazana. Potem jakoś to zelżało i można było pisać i dostawać listy z powrotem. Raz na miesiąc czy dwa był wieczór artystyczny. Przyjeżdżał jakiś zespół pewno z innego obozu. Wszyscy obowiązkowo musieli iść<sup>c</sup> na występ. Zmęczenie dawało jednak o sobie znać. Co jakiś czas ktoś spadał z ławki i to wywoływało największy śmiech. Jak wyglądał dzień w obozie. O godzinie szóstej pobudka, o szóstej trzydzieści w kolejce po śniadanie, o siódmej wymarsz do pracy. Pilnował nas oczywiście uzbrojony konwój. Do kopalni był kawał drogi. Stoimy na mrozie i zaczynamy zjeżdżać windą. Na jedną zmianę przychodziło do pracy około 500 osób. Winda zabierała jednorazowo około 10 osób. Winda obudowana była siatką i zjeżdżając w dół do kopalni co jakiś czas lała się na człowieka zimna woda z żył wodnych. Po dwunastu godzinach wyjeżdża się na powierzchnię. Gdy wyjedzie się na początku mokrym na mrozie czeka się na pozostałych. To trwa czasami godzinę. Potem zbiórka i odliczanie. Jak zdarzy się pomyłka to liczy się od nowa. W tym czasie mokre ubranie zamarzało. Po przyjsciu do obozu na bramie znów liczenie. Pędzimy do stołówki na kolację. Są jeszcze różne prace porządkowe na terenie obozu. Po tym zostaje jeszcze około pięć godzin snu. W obozie było około 1000 osób. Oprócz Polaków w obozie byli Rosjanie i Niemcy. Po jakimś czasie przyszła cała grupa Rosjan, którzy trafili do niewoli niemieckiej i Niemcy ich wywieźli do Norwegii. Po wojnie przyjeżdżali do nich agitatorzy z Rosji i namawiali jako bohaterów

do powrotu. ~~Oni~~ Ci którzy się zdecydowali powrócić trafili od razu po powrocie do obozu. Oskarżano ich o współpracę z Niemcami.

W obozie 5-6 razy chodziłem na przesłuchania, nie przyznawałem się oczywiście, że byłem w AK. Dłga sprawdzania czy mówię prawdę na przesłuchaniu pytano się mnie również o to ile okien jest w domu w którym mieszkałem. Przesłuchujący zapisywał to sobie i takie samo pytanie zadawał na kolejnym przesłuchaniu po miesiącu. Nie byłem też formalnie o nic oskarżony, nie było też mowy oni razu o fałszywych dokumentach przez które wpadłem w kocioł. Musiało im się więc coś pomieszać. Na pierwszym przesłuchaniu śledczy proponował mi współpracę, w zamian obiecując funkcję inżyniera. Okazało się potem, że podobne propozycje składał i wszystkim innym moim znajomym.

W lutym 1947r. zostałem zwolniony z obozu i przewieziony do Polski. Przed wyjazdem musiałem się jeszcze rozliczyć z kopalnią. Okazało się, że muszę jeszcze do tego wszystkiego dopłacić. O zwolnienie starała się moja matka, która wcześniej wyjechała do Polski. Po przewiezieniu do Polski miałem się co jakiś czas ~~na~~ meldować na komisarjacie, ale na tym się w zasadzie skończyło, choć do 1956r. każdorazowo przed 1 Maja, czy wyborami byłem zatrzymywany na jeden-dwa dni. Byłem już do tego przygotowany i wcześniej przygotowywałem termos z herbatą, jedzenie. Takich jak ja było zatrzymywanych kilkaset osób. Wszyscy siedzieliśmy na Podwalu we Wrocławiu /na milicji/ w dużej sali. Graliśmy w szachy, czy brydża a po dwu dniach wypuszczano nas. Przed zwolnieniem musieliśmy się zobowiązać, że nikogo o tym nie poinformujemy.

Spisał Krzysztof Tarka.